

AGNIESZKA WOJDOWICZ

# STRAZNICY NIRGALI

Korona  
Mandalich



Nasza Księgarnia



# Rozdział I

## Ariel

Maite dygotała z zimna. Mróz szczypał ją w policzki, po których wolniutko płynęły łzy. Przetarła oczy, ale mokre strużki jedna za drugą kreśliły ślady na zmarzniętej twarzy. Na włosach osiadła szadź. Rude kosmyki zbieleły niczym oblepione kryształkami soli.

W zgrabiałych dłoniach bez rękawiczek tuliła zawiniątko z szalika. Od czasu do czasu unosiła rąbek dzianiny i wsuwała do środka zsiniały palec. Potem przygryzała wargi i wytrwale brnęła w śniegu po kostki.

Szukała ratunku. Najpierw zaświtała jej desperacka myśl, by zwrócić się po pomoc do zakonnic. Do Małego Arcalis nie było blisko, ale mniszki znały się na ziołach, przyrządzały uzdrawiające mikstury i napary. Gdyby chodziło o nią samą, udałaby się tam niezwłocznie. Nie mogła jednak ryzykować. Z powodu Eryka. Po tem z zakamarków pamięci nadpłynęło do niej wspomnienie. Szła z Falkiem do domu Argyllów i wypytywała go o rodzinę. „Osena – przypomniała sobie nazwę wioski chłopaka. – Gdzieś na pogórzu...”.

Znów sprawdziła ptasie tętno. Przesunęła dłonią po prążkowanych sokolich piórach, a gdy wyczuła drżenie, odetchnęła z ulgą. I wędrowała dalej.

Zostawiła już za sobą centrum Nirgali. Obejrzała się tylko raz, by spojrzeć na miasto. W promieniach słońca widoczny na hory-

zonce dym miał kolor mosiądzu. Zakrywał zgliszcza i rozwaliska, płózając się tuż przy zrujnowanych chodnikach albo wznosząc ku niebu.

Mijała przedmieścia. Łowcy aniołów zrównali je z ziemią; spłonęły nawet drzewa, po których zostały tylko zwęglone szkielety. Kiedy więc ujrzała przysypane świeżym śniegiem nienaruszone akacje, a później rozsypujący się ze starości mur i uchyloną żelazną bramę, zatrzymała się zaskoczona. Znała to miejsce z opowieści. O tym cmentarzu słyszała niejedno i w normalnych okolicznościach omijałaby go szerokim łukiem, ale teraz, gdy w obronie Nirgali poległy wszystkie lesze, nie było się czego bać.

Wkroczyła na cmentarną aleję, która – chociaż dochodziło południe – pogrążona była w cieniu. Na stelach, posągach aniołów i latarniach leżała warstwa świeżego śniegu. Padał przez część poprzedniego dnia i wieczoru, a lesze nie miały okazji zostawić na nim śladów, bo odeszły znacznie wcześniej. Mimo to Maite przezornie obserwowała otoczenie. Wokół nie było żywego ducha. Czuła się tak, jakby pod nieobecność gospodarzy myszkowała w cudzym domu i w każdej chwili groziło jej przyłapanie na gorącym uczynku. Ale głucha cisza utwierdzała dziewczynę w przekonaniu, że mieszkańcy cmentarza na pewno go porzucili.

Przeszła połowę alei i już widziała zarysy furtki, gdy nagle z tyłu dobiegł ją ledwo słyszalny szeleszczący dźwięk. Odwróciła się więc i omiotła wzrokiem okoliczne groby. Śnieg skrzył się delikatnie, kamienne anioły wpatrywały się w czysty nieboskłon, a wiatr muskał gałęzie sędziwych lip, które nie zdążyły jesienią zgubić liści. Brązowawe, suche i skręcone w kokony okrywała biała otulina.

„Zdawało mi się” – pomyślała Maite. Nie przeszła jednak nawet trzech kroków, gdy szelest się powtórzył. Potem poczuła uderzenie. Nie było mocne. Pacyna śniegu wylądowała na jej plecach, zostawiając mokry ślad na kurtce. I rozległ się chichot – cichutki

niczym szept. Dziewczyna osłoniła dłonią cenne zawiniątko i obróciła się na pięcie, gotowa na konfrontację.

Była sama.

„Lesze?” – zastanawiała się, nie odrywając wzroku od nagrobków i obrastającej je plątaniny zarośli.

– Jest tu kto? – spytała, drzeniem głosu zdradzając przestach. Odczekała moment, a gdy nikt się nie odezwał, skierowała się ku furtce.

I znów poczuła na plecach śnieg.

– Ejże! – powiedziała groźnie. – Co za beznadziejne żarty!

Odpowiedział jej śmiech i szelest uschniętych liści. Maite podejrzliwie popatrzyła na drzewa. Najbliższa lipa miała osmolony pień, jakby kiedyś liznął ją ogień. W gałęziach coś się poruszyło.

– Widzę cię!

Śmiech przeszedł w przeciągły syk.

– Naprawdę cię widzę! – powtórzyła, odsuwając się od drzewa. – I policzę się z tobą, jeśli znów we mnie rzucisz.

Tym razem z góry posypały się niczym grad białe kulki. Dziewczynę od stóp do głów pokrył śnieg. Rozłoszczona odskoczyła do tyłu. Przez jakiś czas przyglądała się drzewu. Coś się kryło w koronie, ale widocznie nie zamierzało się ujawnić. „Nie to nie” – pomyślała i znów ruszyła do wyjścia.

– Poczekaj! – zawołał chłopiący głos. – Masz coś do jedzenia?

Maite przycisnęła zawiniątko do piersi i zadarła głowę. Na grubym niczym ramieniu siłacza konarze siedział chłopiec. Chude nogi obute w trzewiki wisały w powietrzu, a on majtał nimi jak na huśtawce. Wychylił się całym ciałem do dziewczyny i zdawało się, że zaraz spadnie. Trzymał się jednak bardzo mocno.

– Jesteś leszą? – zapytała Maite, obrzucając pobieżnym spojrzeniem jasną cerę i krótkie, rozwichrzone włosy o barwie mleka. Intensywnie zielone oczy i spiczaste uszy kogoś jej przypominały. „Tulę Peel” – skojarzyła nagle.

– No tak – mruknęła, gdy nie otrzymała odpowiedzi. – To się rozumie samo przez się.

Chłopiec zwinnie niczym małpka zsunął się z drzewa na ziemię i otrzepał ze śniegu.

– No to jak? – ponaglił, wlepiając natarczywy wzrok w zawiąniętko niesione przez Maite. – Bo kiszki grają mi marsza.

– Nie mam nic oprócz chleba – odparła, odsuwając się na bezpieczną odległość.

– Ujdzie – powiedział i wyciągnął bladą dłoń.

Maite jedną ręką sięgnęła do przewieszanej przez ramię torby, odpięła sprzączkę i wydobyla zapakowane w papier kromki. Położyła na ziemi i cofnęła się parę kroków.

– Masz pietra? – Na sinawych wargach leszy pojawił się triumfalny uśmiech. – To super. Bo jestem strażnikiem tego cmentarza. Mam wszystkiego doglądać, dopóki nie wróci reszta. A tylko co ich patrzeć...

Maite obserwowała każdy ruch chłopaka: schylił się po chleb, uniósł go do ust, a potem pochłaniał tak łapczywie, jakby od dawna nic nie jadł.

– Masz rację – przyznała. – Pilnuj domu.

Odeszła, nie oglądając się za siebie, ale ponieważ z każdą sekundą narastało w niej poczucie winy, że go tak zostawiła, szła coraz wolniej. W końcu przystanęła.

A potem, niespodziewanie dla samej siebie, zawróciła.

Chłopiec przycupnął na odłupanym kawałku nagrobnej płyty. Podciągnął pod brodę kolana i objął je rękoma. Drżał na całym ciele. Maite pomyślała, że pewnie, jak i ona, umiera z przerażenia. Albo z zimna, bo jego przykrótki sweter, sięgające łydek spodnie i długi, choć cienki, szalik niczym ser usiane były dziurami.

– Oni nie wrócą – rzekła ze smutkiem. – Spotkałam wczoraj Tułę Peel. Przyprowadziła ich burzowcami, a potem byłam niedaleko, kiedy... Posłuchaj. Oni wszyscy...

Nie poruszył się. Przypominał odzianą w łachmany lodową rzeźbę.

– Musisz się o siebie zatroszczyć... – dodała.

Zza drapieźnie rozchylonych warg chłopca rozległ się ostrzegawczy syk. Chuda dłoń sięgnęła do zasp.

– Łzesz! – odwarknął i cisnął w Maite śniegiem. – Zabieraj się stąd! Wynoś się, bo nie ręczę za siebie!

– Ale to prawda – upierała się dziewczyna, z trudem opanowując lęk.

– Akurat ci wierzę! – krzyknął. – Pewno nasłali cię Hauruki? I co tam tak chowasz w tej szmacie?

Podniósł się i chwycił pod boki. Mierzył Maite fosforyzującymi oczami, a choć sięgał jej zaledwie do ramienia, cofała się jak przed drapieźnym zwierzem.

– Zostałeś sam – podkreśliła, zanim rzuciła się do ucieczki. Gnała jak na skrzydłach, byle dalej od leszy i jej pałających zieleńią ślepi.

Gdy minęła furtkę i wypadła na łąkę, jeszcze raz zerknęła za siebie, ale chłopiec nie poszedł jej śladem. Odetchnęła, uspokoiła się i rozejrzała w poszukiwaniu drogi. Butwiejące źdźbła trawy przymarzły do ziemi, a gdzieniegdzie sterczały sztywno, wychylając się z przyzmi śniegu. Nie było nawet ścieżki, ruszyła więc na przelaj w stronę rosnącej w oddali puszczy.

Kiedy dotarła do pierwszych drzew, rozpadał się śnieg. W okamgnieniu zapadł zmrok, a wiatr wył niczym sfora rozwścieczonych wilków. Maite na oślep przedzierała się przez zaspę. Otaczały ją niebosiężne sosny i rozłożyste świerki. Wpadała na ostre gałęzie i twarde pnie. Potykała się na korzeniach. Śnieg wdierał się jej do oczu i ust. Jak chmara owadów obsiadł włosy, ramiona i szalik, w którym szemrało sokole serce.



Ariel przypadł do cmentarnej furtki, lecz obca była już na zewnątrz. Odchodziła w stronę lasu. Żałował, że jej nie dopadł, gdy gadała mu te bzdury o Tuli i pozostałych. Odgrażał się, w duchu obrzucając rudzielca stekiem wyzwisł. Szkoda, że nie mogła go usłyszeć.

Wrócił na swoje drzewo. Było wymarzonym punktem obserwacyjnym. Gałęzie lipy spletały się w wygodne siedzenie z oparciem i Ariel mógł tam czatować bez końca. Wyobrażał sobie, że to najwyższa baszta w niezdobyczej cytadeli. Gdyby nie ssanie w żołądka, byłoby całkiem fajnie.

Wpatrywał się w horyzont. Za ogrodzeniem rozciągał się świat aniołów. Dziś miał odcień ognia i dymu, a te w ogóle go nie pociągały. Chłopiec się wychylił i pogładził dłonią pień lipy. Był okaleczony i poczerniały; ucierpiał, gdy zmiennokształtni latem podpalili cmentarz. Mieli doprawdy niepojęte zamiłowanie do ognia.

Ariel rozsiadł się wygodnie, opierając łokcie na dwóch zakrzywionych konarach. Założył nogę na nogę i czubkiem trzewika strącił na ziemię odrobinę śniegu. Posypał się jak nasiona dmuchawców, które wiosną rosły przy ruinach kapliczki. Uskrzydłony puch rozsiewał się po całym cmentarzu, łaskotał w nozdrza i wplątywał się we włosy.

Chłopiec czujnie nadstawił uszu, bo coś zaskrzeczało. Od strony miasta nadpływały czarne chmury. „Oho – pomyślał, krzywiąc się z niechęcią. – Hauruki”. Zamarł w bezruchu i nie odrywał wzroku od błyskawicznie przemieszczających się kruków.

Nad nekropolią ptaki obniżyły lot. Obsiadły cmentarny mur, a potem sfruwały między nagrobki i zanim dotknęły ziemi, już przeobrażały się w zakapturzonych mnichów, którzy rozbiegli się po alejkach i ścieżkach. Rozbrzmiał łoskot rozłupywanych kamieni i trzask pękającego drewna. Żelazne łomy z niespotykaną zaciętością raniły drzewa, odzierając je z kory i gałęzi. Na zdeptany śnieg



runęły głowy anielskich posągów, a na stele spadały odłamki skrzydeł, które kruszyły się w gruz.

Kiedy na koniec zakonnicy podłożyli ogień, z cementarza poderało się stado ptaków i pofrunęło w stronę Eschen. Ariel zsunął się z jakimś cudem nietkniętej lipy. Zza jego szczękających zębów dobywało się żalosne powarkiwanie. Popędził główną aleją, przeskoczył nad stertą desek, skręcił w lewo, potem w prawo i przystanął tam, gdzie przez całe jego życie rośla dwupienna sosna. Płonęła. Podmuchy wiatru podsycaly strzelający w górę ogień.

Ariel opadł na kolana. Odrzucił kawałki kamieni i połamane sosnowe gałęzie. Odślonił ukryte w ziemi drzwiczki, wymacał mośiężny uchwyt i pociągnął z całej siły. Kłapa ani drgnęła. Zacisnął zęby i pociągnął znowu, lecz wciąż bezskutecznie. Wtem nad jego głową coś trzasnęło. Od sosny oderwał się gruby konar i rozsiewając iskry, spadł przy dłoniach chłopca. Ariel uskoczył. Ze wszystkich stron osaczały go buchające żarem płomienie.

Zerwał się do biegu. Osłaniał ramieniem twarz i prawie po omacku dotarł na główną aleję. Ona również stała w ogniu. Ostatkiem sił dopadł do furtki i ciężko dysząc, oparł się o mur. Z rozpaczą długo spoglądał na swój dom, aż w końcu odwrócił się i ruszył przed siebie. Słońce zakryły ciemne chmury, z których sypane śniegiem, a on szedł i szedł, drżącymi dłońmi ocierając nieposłuszne łzy.



Wicher szarpał włosy Maite, przenikał przez ubranie. Dokuczał jej chłód. Traciła czucie w palcach – nie mogła ich rozprostować, jakby krew ścięła się w żyłach. Śnieg przemoczył buty.

Oczy otępiełej dziewczyny same zamykały się ze zmęczenia. Śnieg zdawał się tak kusząco miękki, taki czysty – zupełnie jak pościel w pokoiku w Małym Arcalis. Zapachniało żywicą i lasem, nie

lawendą, ale i tak dobrze by było choć na moment złożyć gdzieś głowę.

Maite osunęła się na kolana. Zawiniątko z szalika potoczyło się w zaspę i zniknęło w białym puchu. Drzewa pochylały nad dziewczyną gałęzie, a śnieg z wolna pokrywał siniejącą twarz, strąki włosów i nieruchome dłonie.



Ariel wędrował przez las, ale gdy wypatrzył drogę, ruszył jej skrajem. Śnieżyca się nasilała, lecz to mu wcale nie przeszkadzało, a na mróz był odporny jak każda lesza.

Na wszelki wypadek krył się za przydrożnymi drzewami. Trakt był jednak pusty, więc w końcu wyszedł na sam jego środek. Wiatr zwiewał śnieg na pobocze, odsłaniał drobne kamienie i ziemię zmarzniętą na kość.

Kiedy zapadł wieczór, od strony Nirgali rozległ się turkot. Ariel dał nura między przydrożne świerczki. Przez gęstwinę igieł tak długo obserwował drogę, aż wypatrzył przemieszczające się światełka. Z mroku wychynęły trzy wozy okryte nieprzemakalnymi plandekami. Każdy ciągnęła para koni. Na kozłach, w grubych kurtach i futrzanych czapach, kulili się woźnice. Przy zasnurowanych polach umocowano zapalone lampy.

Chłopiec cofnął się instynktownie. Zawadził o coś, co zalegało pod zaspą, i upadł na wznak. Gdy gramolił się ze śniegu, natrafił dłonią na obły kształt – zawiniątko w zeszywniałej dzianinie. Rozwinął je i ujrzał ptaka o cętkowanych skrzydłach.

Baczenie się rozejrzał i znowu opadł na kolana, bo był niemal pewien, że pod warstwą sypkiej bieli leży ktoś jeszcze. Odłożył ptaka i przedramionami zaczął rozgarniać śnieg. Odsłonił bladą niczym wosk twarz i długie włosy.

– Rudzielec... – szepnął, gdy rozpoznał stężałe rysy.

Zerwał się na równe nogi i wypadł na drogę. Biegł tak szybko, aż dopędził podążające nią wozy.



Maite otworzyła oczy. Nie mogła się ruszać. Miała wrażenie, że otacza ją warstwa wiecznej zmarzliny. Po falujących ścianach przesuwały się półcienie, a w górze wisiała gwiazda. Świeciła i gasła... Świeciła i gasła... Świeciła... Dziewczyna zapadła w niespokojny sen.

Ocknęła się ponownie. Gwiazda płonęła rażącym światłem, Maite przymknęła więc powieki. Ciążyły jej, jakby były z ołowiu.

Wreszcie na dobre oprzytomniała. Aż po brodę okrywały ją wełniane koce. W górze, kołysząc się na boki, wisiała zapalona lampa. Metalową rączkę przytwierdzono do stelaża obciążonego ciemnym brezentem.

Dziewczyna z jękiem podparła się na łokciach i natychmiast usłyszała ostrzegawcze prychnięcie. Okutana w chustę staruszka o kocich oczach szorstką dłonią zbadła jej czoło.

– Leż – mruknęła. – Jeszcześ nie doszła do siebie. Miałś więcej szczęścia niż rozumu, dziecinko – mówiła, przesuwając się do tyłu. Pobrużdżona zmarszczkami twarz zniknęła w mroku.

Maite odetchnęła głęboko, aż zakłuło ją w płucach. Jakaś myśl nie dawała jej spokoju. Przypomniała sobie o Eryku i zamarła ze strachu.

– Niosłam ptaka... – wychrypiała, z trudem dobywając głos. – Sokoła.

– Tak? – zdziwiła się kobieta. – Nic mi o tym nie wiadomo.

Serce Maite tłuło się jak oszalałe. Każdy oddech sprawiał jej ból.

– Nie... znaleźliście go? – wyszeptała.

– Martwisz się o ptaka? – Staruszka z niedowierzaniem pokręciła głową. – A o niego nie zapytasz?

– O... kogo? – zająknęła się dziewczyna. – Miałam sokoła. Był chory, ale żył... Chyba go zgubiłam. W śniegu.

Stara wzruszyła ramionami.

– Majaczysz. Zresztą ja nic nie wiem. Może Ariel...

– Ariel?! – Maite podniosła głos i wyszarpnęła ręce spod okryć. Jeszcze wyżej dźwignęła się na łokciach. – Jaki znowu Ariel?! Jeśli Eryk tam został, to ja wracam!

– Naprawdę bredzisz – skarciła ją łagodnie kobieta. – Ariel znalazł cię w lesie. Mówił, że się znacie, chociaż znajomości z leszami, nawet ucywilizowanymi, nie są spełnieniem moich marzeń. Pilnuje chłopaka z moją córką. Gorzej z nim niż z tobą. Niby nie odniósł żadnych ran, nie przemarzył tak jak ty, a ciągle nieprzytomny.

Dziewczyna opadła na poduszkę.

– No, uspokoiłaś się nareszcie – ucieszyła się staruszka. W jednej ręce trzymała cynowy kubek, w drugiej dzbanek pełen ciepłego mleka. – Przygotuję ci...

– Muszę go zobaczyć – przerwała jej Maite. – Sprawdź tylko, czy to Eryk.

– Eryk? Ten chłopak w drugim wozie? – pytała staruszka, przysuwając się na kolanach do dziewczyny. – Pij, póki gorące...

– Ale ja muszę go zobaczyć...

– Zobacysz, zobacysz – obiecała kobieta. Uniosła jej głowę i przytknęła do ust kubek. – Na razie wygrzewaj się pod kocem i raduj się z życia, dziecko, bo wykpiłaś się od śmierci.



Maite obudziła się po śnie tak długim i głębokim, że musiała dołożyć wszelkich starań, by sobie przypomnieć, co właściwie zaszło. Była sama, okryta stertą włochatych pledów. Otaczał ją półmrok, bo lampa ledwo się tliła. W sznurowaniu plandeki stabiutko jaśniała smużka światła. Dziewczyna odrzuciła nakrycia i na czwo-

rakach dobrnęła do wyjścia. Choć nie do końca panowała nad zeszywniałymi palcami, rozsypała wiązanie i wyrzuciła na zewnątrz.

Na niebie połyskiwał malejący księżyc, a wokół niego migotały gwiazdy. Mroźne powietrze jak wino uderzyło Maite do głowy. Zachwiała się, ale nie upadła. Wyciągnęła rękę po koc, narzuciła go na plecy i wygramoliła się z wozu stojącego na rozległej polanie. Obok były dwa inne, a do pni drzew przywiązano wyprężone konie. Pochylały się nad workami obroku. Strzygły uszami, rażno poparskując.

Maite skierowała się do najbliższej furmanki. Uniósła poły plan-deki i zerknęła do środka. Przy posłaniu, na którym spoczywał Eryk, płonęły cztery świece. Cienie pełgających płomieni przemykały po krzywiznach ścian i po twarzy chłopaka. Miał zamknięte oczy i sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie.

Obok świec klęczał chłopiec o rozjarzonych ślepiach leszy, z potarganą czupryną i elfimi uszami.

– Wejdz – zaprosił ją szeleszczącym głosem, nie podnosząc wzroku. – Nie musisz tak się skradać. Nie obudzisz go.

Oparła stopę na drewnianym stopniu i po chwili była w wozie. Przysunęła się do Eryka, żeby drżącą dłonią musnąć jego twarz. Od skóry chłopaka bił nieprzyjemny chłód.

– Nie wiemy, co mu jest. – Chłopiec schylił się nad chorym i jakiś czas patrzył przenikliwie na jego opuszczone powieki. – Zobacz. Nawet nie drgnie.

Maite odkaslnęła. Wzruszenie przeszkadzało jej w swobodnej rozmowie.

– To ty nas znalazłeś? – zaczęła.

Chłopiec kiwnął głową.

– Poszedłeś za mną? Dlaczego?

– Nie za tobą. Hauruki zniszczyli cmentarz. Spalili... mój dom. Kryptę. Dałem nogę, a ty napatoczyłaś się przypadkiem. Jeśli cho-

dzi o niego, to myślałem, że jest martwy, ale kiedy wypadł mi z rąk, przemienił się w człowieka.

– Mam u ciebie dług... – szepnęła.

– Niczego od ciebie nie chcę – mruknął, a jego szmaragdowe oczy przygasły i pociemniały.

– Zawdzięczam ci życie. Swoje i Eryka – upierała się Maite. – Jak ci na imię?

– Ariel – odparł i wygładził załamanie na kocu okrywającym chorego.

– No tak. Słyszałam je już od tej kobiety... – uświadomiła sobie dziewczyna.

– Od pani Felisy.

– Chyba tak. Ale to dziwne imię. Nie dla leszy – skomentowała.

– Takie... anielskie.

– Starzy mieli poczucie humoru. – Usta Ariela drgnęły zupełnie tak, jakby w ostatniej chwili powstrzymał uśmiech.

– Widziałam... lesze z twojego cmentarza – zająknęła się Maite. – Na placu Suriela. Nie sądziłam, że mogą być takie dzielne. A Tula... – Zmarszczyła brwi i znów zakaszła. Brodą wskazała Eryka. – On powiedziałby ci więcej. Był bliżej.

Zapadła cisza. Świeca zaskwierczała i zgasła. Maite poczuła zapach wosku.

– Teraz ja go popilnuję – poprosiła półgłosem. – Możesz iść.

– Nie – zaprotestował. – Zostanę.

– Nie musisz. Prześpij się. Albo wyjdź na świeże powietrze.

– Lepiej nie – rzucił ostrym tonem. Zza uniesionych warg błysnęły zęby drapieznika.

Dziewczyna wzdrygnęła się, ale nie dała za wygraną.

– A to czemu? – zapytała.

Chłopiec złagodniał. Spuścił głowę, jakby próbował coś przed nią ukryć.

– Dopiero co była pełnia – odburknął speszony. – Księżyc jest za duży. I za jasny.

– Och. – Maite się zmieszała. – Nie skojarzyłam.

– Ale się staram. Daję słowo. Tula uczyła mnie, jak sobie z tym radzić... – Zażenowany skubał palcami frędzle szalika.

– Była świetna. Tula – powiedziała dziewczyna.

Ariel posłał jej spojrzenie pełne wdzięczności.

– Tak. Była w porządku – potwierdził z powagą.

Zapałł się w sobie, przygarbił, a dłonie schował w rękawach swetra, jakby zgrabiwały mu z zimna.

Choć nigdy przecież nie marzył.



Zawinięta w koc, zeszytywniała i głodna Maite ocknęła się przy boku Eryka. W każdym mięśniu i ścięgnie czuła mrowienie.

Ariel popatrywał na nią spod przymrużonych powiek. Skrzyżował nogi, w noskach jego sfatygowanych trzewików odbijał się płomyk ostatniej świecy.

– Rozprostuję kości – oznajmiła dziewczyna. – Ale za moment będę z powrotem.

Milczał, gdy rozchyliła plandekę i wyskoczyła z wozu. Poprawiła zsuwający się z ramion koc. Śnieg poskrzypywał, a każdy oddech zamieniał się w białawy obłoczek.

Pośrodku polany ujrzała płonące ognisko. Ogień strzelał iskrami i huczał, pachniało dymem z jałowca i pieczonymi jabłkami. Wokół, na przyciągniętych z lasu kłodach, siedziały trzy dziewczyny, a obok nich pani Felisa. Długim patykiem grzebała w rozrzuconych na ziemi żarzących się węgielkach. Po drugiej stronie rozsiadło się trzech chłopaków. Przygrywali na tamburynie i na fletach, ale kiedy Maite znalazła się w kręgu światła, muzyka umilkła.

– Ach, więc z tobą już lepiej – odezwała się kociooka starszuszka. W jej sękatych palcach dymiło pieczone jabłko. – A my właś-

nie kończymy kolację. Często się. – Wyciągnęła do dziewczyny talerz, na którym leżały przypieczone na brązowo owoce. – Sporo zostało.

Maite usiadła i przyjęła poczęstunek. Nadgryzła jabłko, a gdy się przekonała, że jest słodkie i ciepłe, ochoczo zabrała się do jedzenia.

– I apetyt ci wrócił! – stwierdziła z zadowoleniem kobieta. Wełknęła ręce w fałdy grubego poncho i przedstawiła sześcioro młodych ludzi. – To moje dzieci – pochwaliła się z dumą.

Nie przerywając posiłku, Maite skinęła wszystkim głową.

– Ty sobie podjedz, dziecinko... – kontynuowała pani Felisa.

– Maite – przedstawiła się dziewczyna.

– Ty sobie podjedz, Maite, a my bierzemy się do pracy. Księżyc przyświeca niczym latarnie w Nirgali. W sam raz dla nas.

Klasnęła, zagrały flety i tamburyn, a dziewczęta przeciągnęły się leniwie. Odrzuciły na śnieg peleryny. Czarne włosy miały spięte w końskie ogony, krótkie sukienki błyszcząły rubinową czerwienią gęsto naszytych cekinów. Podbiegły do prostej niczym świeca sosny.

Pierwsza panna Felisa z kocią gracją wspięła się na drzewo. Pospały śnieg i zakołysały gałęzie, gdy stanęła na linie przeciągniętej do konarów bliźniaczej sosenki. Rozpostarła szeroko ręce, a jej siostry cisnęły w górę trzy złociste wstęgi. Wirowały i skręcały się niczym serpentyny, kiedy chwyciła je kolejno w locie i żonglowała nimi, tańcząc jak baletnica na czubkach palców.

Maite zamarła z jabłkiem przy ustach.

– Nie... spadnie? – zająknęła się z wrażenia.

– Skądże! – zapewniła starszka. – A gdyby nawet, to na cztery łapy. Nic jej nie będzie.

Druga panna Felisa dołączyła do siostry, rzucając w nocne niebo płonące pochodnie, a trzecia – ogromne, srebrnobiałe piłki.



Maite z zapartym tchem podziwiała popisy na linie. Na chwilę wyleciały jej z głowy wszystkie troski. Wróciła do rzeczywistości, gdy muzyka przycichła, a akrobatki znalazły się na ziemi.

– Idę do Eryka – westchnęła z taką miną, jakby miała wyrzuty sumienia, że pozwoliła sobie na odrobinę radości.

– Oczywiście – odparła pani Felisa. – Twoja obecność na pewno mu nie zaszkodzi.

---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:

tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

---

*Książka została wydrukowana na papierze  
Creamy 60 g/m<sup>2</sup> wol. 2,0.*

**zing**

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*

Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*

Redakcja *Bogumiła Widła*

Korekta *Ewa Mościcka*

Redaktor techniczny, DTP *Agnieszka Czubaszek*

ISBN 978-83-10-12377-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań